




ALEKSANDRA
MARININA
gra
na cudzym
boisku



Aleksandra Marinina (ur. 1957 we Lwowie) mieszkała w Leningradzie, potem przeniosła się do Moskwy; tam ukończyła szkołę muzyczną oraz wydział prawa. Po studiach rozpoczęła pracę w milicji, gdzie zajmowała się badaniami w dziedzinie kryminologii. W 1992 roku ukazała się jej pierwsza książka z cyklu powieści o major Anastazji Kamieńskiej, *Kolacja z zabójcą*. W 1998 roku Marinina odeszła z milicji i zajęła się wyłącznie pracą literacką. Do dziś jej książki – przetłumaczone m.in. na włoski, francuski, niemiecki, szwedzki, a także chiński, japoński i koreański – osiągnęły łączny nakład ponad trzydziestu milionów egzemplarzy. Cykl o major Kamieńskiej doczekał się także ekranizacji przez rosyjską telewizję NTW. Nakładem Wydawnictwa W.A.B. ukazało się dotychczas sześć powieści z tej serii: *Ukradziony sen* (2004), *Męskie gry* (2004), *Śmierć i trochę miłości* (2005), *Gra na cudzym boisku* (2005), *Złowroga pętla* (2006) i *Kolacja z zabójcą* (2007). W przygotowaniu kolejna – *Zabójca mimo woli*.

ALEKSANDRA

MARININA

gra
na cudzym
boisku



w serii ukazały się:

Marek Krajewski *Koniec świata w Breslau*

Henning Mankell *Fałszywy trop*

Henning Mankell *Morderca bez twarzy*

Henning Mankell *Piąta kobieta*

Henning Mankell *Biała Iwica*

Aleksandra Marinina *Ukradziony sen*

Aleksandra Marinina *Męskie gry*

Aleksandra Marinina *Śmierć i trochę miłości*

Joanna Szymczyk *Ewa i złoty kot*

ALEKSANDRA

MARININA

gra
na cudzym
boisku

przełożyła EWA ROJEWSKA-OLEJARCZUK

Tytuł oryginalny: *Игра на чужом поле*

Copyright © by A. Marinina, 1993

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo W.A.B., 2005

Copyright © for the Polish translation by Wydawnictwo W.A.B., 2005

Wydanie I
Warszawa 2007

PROLOG

Miesiąc przed dniem pierwszym

Atak zbliżał się nieubłaganie, jego symptomy Jurij Fiodorowicz czuł już wczoraj wieczorem, ale liczył na uzdrawiające działanie snu. Niestety, sen nie pomógł. Następnego dnia Jurij Fiodorowicz kilkakrotnie przyłapywał się na tym, że każdą rozmowę z uczniami próbuje sprowadzić na temat „rodzice i dzieci”, a dokładniej – „matka i syn”. Kolejne stadium nadeszło po obiedzie, kiedy najbliższa wzmianka o rodzicach, a zwłaszcza o matkach, wywoływała u niego fizycznie odczuwalne chorobliwe rozdrażnienie i Marcew z trudem się powstrzymywał, by nie przerwać rozmówcy, nie powiedzieć czegoś niegrzecznego, nie podnieść głosu. I oto teraz, pod koniec dnia pracy, zrozumiał, że atak jest nieunikniony, że Juroczka się „obudził” i lada chwila wrzaśnie na całe gardło.

Marcew podniósł słuchawkę.

– Galino Grigorjewno, czy moglibyśmy przełożyć naszą rozmowę na jutro? Źle się czuję, chciałbym pojsć się położyć.

– Naturalnie, Juriju Fiodorowiczu – odpowiedziała skwapliwie nauczycielka matematyki. – Skoro przez sześć

lat nie mogliśmy sobie poradzić z Kuźminem, to jeden dzień nas nie zbawi. Życzę zdrowia.

- Dziękuję.

Tak, z Kuźminem były problemy. Skarzyli się na niego wszyscy nauczyciele. Wadik Kuźmin, prymus, nigdy nie dawał powodów do usunięcia go ze szkoły za brak postępów w nauce. Za to we wszelkich innych kwestiach, od zachowania na lekcjach do aroganckich i ordynarnych wyskoków poza szkołą, był prawdziwą zakałą, nigdy jednak nie przekraczając granicy, poza którą automatycznie czekałoby go śledztwo i sąd. Jak bowiem wiadomo, za obrazę i oszczerstwo można postawić winnego przed sądem tylko na wniosek poszkodowanego. W dodatku kary za te przestępstwa podlegają jedynie osoby pełnoletnie. „Jutro – myślał Marcew, nerwowo zapinając płaszcz. – Nad tym wszystkim zastanowimy się jutro. Dziś najważniejszy jest Juroczka. Trzeba go nakarmić, przewinać, ukołysać do snu. Byle tylko nie doszło do nieszczęścia!”

Jurij Fiodorowicz Marcew był chory od dawna i nieuleczalnie. Co prawda, wiedział o tym tylko on sam. No, może jeszcze trzy osoby, ale ich zdanie Marcewa nie interesowało. Dla pozostałych był szanowanym dyrektorem prestiżowej szkoły z wykładowym angielskim, nauczycielem literatury angielskiej i amerykańskiej. Dla swej żony – dobrym mężem, dla córki – „pedagogicznie poprawnym”, choć nieco staroświeckim ojcem. Dla mamy zaś był Juroczką, Jurasikiem, Jursiem, ukochanym, jedynym syneczkiem, doprowadzonym do rozpaczy jej rodzicielską miłością.

Marcew pojechał do mieszkania, które w tajemnicy przed rodziną wynajmował za dość umiarkowaną opłatę: mieszkanie było malutkie, dawno nieodnawiane, prawie bez mebli, i znajdowało się na skraju Miasta. Czasem Jurij Fiodorowicz przyprowdzał tu kobiety, ale ten azył

przeznaczony był przede wszystkim do leczenia, którego w ostatnich czasach potrzebował coraz częściej.

Wszedł do przedpokoju i szybko się rozebrał. Ręce drżały mu tak, że nie mógł nawet powiesić płaszcza na wieszaku, i rozdrażniony rzucił go na krzesło. Juroczka natarczywie wydierał się na swobodę, przepelniała go nienawiść do matki i przemożne pragnienie natychmiastowego jej zabicia. „Zaraz, zaraz, kochany – mamrotał Jurij Fiodorowicz – zaraz się uspokoisz, wytrzymaj jeszcze minutkę, jeszcze jedną sekundeczkę...”

Poruszał się niemal automatycznie, wyjmując ze skrytki kasety, wkładając ją do magnetowidu i przysuwając fotel bliżej telewizora.

Przy pierwszych znajomych scenach, jakie ukazały się na ekranie, zrobiło mu się jakby nieco lżej, zauważył jednak, że muzyka, dawniej działająca niezawodnie, tym razem działa słabiej. Przeląkł się nawet, że lekarstwo utraciło swą moc, jednak po kilku minutach wszystko powróciło do normy. Na ekranie ukazała się piękna twarz matki, taka, jaką była trzydzieści pięć lat temu, kiedy Marcew miał zaledwie osiem lat. Matka chodziła po pokoju, rozstawiała filiżanki, nalewała herbatę, potem wyciągnęła rękę i wzięła dzienniczek szkolny Juroczki. Marcew nie widział siebie na ekranie, ale wiedział, że siedzi przy stole naprzeciw matki i czeka przerażony, kiedy ta otworzy dzienniczek na stronie z długim, napisanym czerwonym atramentem listem od nauczycielki. Teraz mama go czyta, marszczy brwi, jej usta krzywią się pogardliwie, twarz robi się lodowata. Na stole między czajnikiem a koszykiem z pieczywem leży duży nóż. „Nienawidzę jej! Boję się i nienawidzę! Zaraz ją zabiję!” Juroczka wyrwał się na zewnątrz, Marcew nie powstrzymywał go dłużej, obserwując zafascynowany, jak mały potwór zaspokaja swoje pragnienie. Dziecko przymila się do matki, prosi o przebaczenie i obiecuje „więcej tego nie robić”. Twarz

matki łagodnieje, kobieta jest gotowa wybaczyć ukochanemu dziecięciu i nie widzi noża, który chłopiec chowa za plecami.

Zbliżenie – na całym ekranie piękna, długa szyja, błyszczące ostrze noża i krew. Dużo krwi. Bardzo dużo... Koniec. Katharsis. Marcew pamiętał wyraźnie ciepłą krew, spływającą strumieniem po jego ręce. To wrażenie powracało za każdym razem, gdy oglądał film, i ostatecznie przekonywało Juroczkę, że wreszcie to o zrobił. Teraz małaletni morderca zwił się w kłębuszek, zasypiał i spał słodko do następnego razu.

Marcew odchylił się bezsilnie na oparcie fotela. Tym razem chyba sobie poradził. Ale poczucie wyswobodzenia nie było dziś takie jak przedtem. Juroczka chyba nie zasnął, tylko zapadł w lekką drzemkę. Marcew uświadomił sobie, że przerwy między atakami robią się coraz krótsze. Dawniej Juroczka budził się co dwa, trzy lata, potem – raz do roku, a od poprzedniego ataku do dziś minęły zaledwie cztery miesiące. Choroba się nasilała. Marcew zdawał sobie z tego sprawę. Cóż, pomyślał, to znaczy, że potrzebne jest nowe lekarstwo. Wiedział, jakie powinno być. Już jutro się tym zajmie.

ROZDZIAŁ 1

Dzień pierwszy, dzień drugi

„Jestem emocjonalnym potworem, pozbawionym normalnych ludzkich uczuć” – myślała z rezygnacją Nastia Kamińska, pilnie pokonując na bieżni zapisane przez lekarza kilometry. Po raz pierwszy w życiu znalazła się w sanatorium i postanowiła zatroszczyć się o swoje zdrowie „w pełnym zakresie”, tym bardziej że warunki w „Dolinie” były wręcz luksusowe.

Oczywiście, nigdy by się nie dostała do tego prestiżowego sanatorium, gdyby sama organizowała swój urlop. W najlepszym razie, jako pracownikowi Moskiewskiego Wydziału Kryminalnego, zaproponowano by jej skierowanie do resortowego sanatorium bez basenu, z regularnymi wyłączeniami ciepłej wody.

Nastia, obojętna na uroki natury, spędzała urlopy w Moskwie na tłumaczeniu książek z angielskiego i francuskiego, co, z jednej strony, pozwalało jej podreperować finanse, a z drugiej – odświeżyć znajomość języków. W tym roku urlop miała przewidziany na sierpień, ale Wiktor Aleksiejewicz Gordiejew, czule zwany przez podwładnych Pączkiem, poprosił Nastię, by zamieniła się z kolegą, któremu nagle zmarła żona.

– Wiesz przecież, Anastazjo, że powinien mieć urlop wtedy, kiedy w szkole są wakacje. A tobie bez różnicy – sierpień czy październik, i tak tkwisz w Moskwie. Słuchaj no, chcesz, to ci załatwię dobre sanatorium.

– Chcę – nieoczekiwanie dla siebie samej powiedziała Nastia. Kłopotów ze zdrowiem miała co niemiara, ale nigdy się tym na serio nie zajmowała.

Teść Gordiejewa, profesor Woroncow, był szefem dużego centrum kardiologicznego i z jego pomocą Wiktor Aleksiejewicz wysłał Nastię do „Doliny”. Było to istotnie świetne sanatorium, które w dawnych czasach należało do Wydziału IV Ministerstwa Zdrowia i z absolutnie niepojętych przyczyn nie podupadło w epoce reform. Koszt skierowania był jednak taki, że przed Nastią stanęły nowe problemy. Załatać dziurę w budżecie mogła pod warunkiem, że zabierze ze sobą tłumaczenie i będzie pracować w czasie urlopu. W tym celu jednak musiałyby wziąć też słowniki i maszynę do pisania, a poza tym dostać pokój jednoosobowy. Nawet przy minimum rzeczy torba ze słownikami i maszyną ważyłaby tyle, że Nastia miałaby zagwarantowany urlop w pozycji horyzontalnej – po nie-

fortunnym upadku w czasie gołoledzi absolutnie nie mogła dźwigać ciężarów, bo później dokuczały jej silne bóle w krzyżu.

– Głowa do góry, Anastazjo. – Pączek mrugnął do niej, kiedy zwierzyła mu się ze swych obaw. – Zaraz zadzwonimy do tamtejszego szefa wydziału kryminalnego i poprosimy go, żeby wszystko zorganizował.

Wiktor Aleksiejewicz przekartkował notes i zaczął wybierać numer.

– Siergiej Michajłowicz? Witam, tu Gordiejew z Moskwy. Pamiętasz mnie jeszcze?

Nastia nie liczyła zbyt na pomoc miejscowej milicji, wiedząc, że takie prośby są zawsze kłopotliwe i odrywają od pracy.

Uważnie obserwowała szefa, usiłując z intonacji głosu i wyrazu jego twarzy odgadnąć odpowiedzi niewidocznego Siergieja Michajłowicza.

– ...Jedzie do was do „Doliny”, żeby podleczyć kręgosłup. Nie może dźwigać nic ciężkiego, dlatego proszę o pomoc.

(– Nie ma sprawy, załatwione.)

– A poza tym, Siergieju Michajłowiczu, konieczny jest pokój jednoosobowy. Pacjent zabiera ze sobą robotę.

(– Służbową?)

– Nie, nie, jak by to wyglądało? Za twoimi plecami? To praca twórcza.

(– Znamy, znamy taką pracę twórczą. Dobra, coś się wymyśli. A jak ten twój człowiek, lubi wypić? Czy to wędkarz? A może by zapolował?)

– Siergieju Michajłowiczu, to młoda kobieta...

Widząc, jak twarz Pączka gwałtownie czerwienieje, jak nabiega krwią nawet łysina, Nastia domyśliła się, co powiedział jego rozmówca. Cóż, można faceta zrozumieć, nie chce poświęcać czasu i wysiłków ani własnych, ani swych podwładnych na urządzenie w sanatorium czyjejs

kochanki. No bo kim może być kobieta, za którą wstawia się szef Moskiewskiego Wydziału Kryminalnego, jeżeli oczywiście nie jest jego kuzynką? Kim, jak nie kochanką któregoś z jego przyjaciół albo nawet jego samego? Bo przecież nie koleżanką z pracy! Koń by się uśmieł!

- Żarty się ciebie trzymają, Siergieju Michajłowiczu
- powiedział drewnianym głosem Gordiejew. - Zadzwoń do ciebie, jak będzie już miała bilet. Umowa stoi?

Kiedy Nastia kupiła bilet na pociąg, Wiktor Aleksiejewicz jeszcze raz zadzwonił do Miasta, znajomego nie zastał i przekazał informację dyżurnemu. Nastia nie miała żadnych wątpliwości, że nikt po nią nie wyjdzie na dworzec. Tak też się stało.

Pobladała z bólu, z trudem stawiając nogi, dotarła do recepcji sanatorium. Urzędniczka była uosobieniem uprzejmości, ale kiedy Nastia poruszyła kwestię pokoju jednoosobowego, kategorycznie odmówiła.

- Pokoi jednoosobowych jest mało, rezerwujemy je tylko dla inwalidów, kombatanów, weteranów z Afganistanu. Niestety, nic nie mogę dla pani zrobić.

- A czy można kupić skierowanie bezpośrednio tutaj?
- spytała Nastia, która była gotowa na wszystko, byle tylko jak najszybciej się położyć.

- Oczywiście. - Recepcjonistka szybko spojrzała na Nastię i natychmiast odwróciła wzrok, wbijając go w książkę meldunkową.

„Wszystko jasne” - pomyślała Nastia i powiedziała głośno:

- Proszę mi sprzedać jeszcze jedno skierowanie i zajmę sama pokój dwuosobowy. Można tak zrobić?

- Proszę bardzo. - Recepcjonistka wzruszyła ramionami, jak wydało się Nasti, z niejakim napięciem i otworzyła stojący na biurku sejf.

Nastia bez słowa wyjęła pieniądze i położyła je na otwartej książce meldunkowej.

- Może pani nie wypisywać skierowania – powiedziała cicho. – Proszę tylko zaznaczyć w książce, żeby nikogo mi nie dokwaterowano.

Znalazłszy się w pokoju, nie rozbierając się, padła na łóżko i bezgłośnie się rozplakała. Krzyż bolał ją potwornie, pieniędzy zostało tyle co nic. A poza tym czuła się w jakiś sposób upokorzona.

Recepcjonistka rzetelnie odpracowała otrzymaną łapówkę. Dostrzegła chorobliwą bladość Nasti i już po półgodzinie do pokoju zapukał lekarz. Natychmiast zauważył i wielką torbę, porzuconą na środku pokoju, i zaczerwienione od łez oczy, i tabletki przeciwbólowe na nocnym stoliku.

- No i co pani sobie myśli? – mówił z wyrzutem, badając puls i oglądając posiniąte dłonie Nasti. – Jak można dźwigać takie ciężary, wiedząc, że jest się chorą? Krążenie ma pani w strasznym stanie. Czy pani pali?

- Tak.

- Od dawna? Dużo?

- Od dawna. Dużo.

- Pije pani?

- Nie. Tylko wermut, ale bardzo rzadko.

- Jak pani na imię?

- Anastazja. Ale proszę mi mówić po prostu Nastia.

- Ja jestem Michaił Pietrowicz, bardzo mi miło. A więc, Nastiu, proszę wybrać, co będziemy leczyć najpierw: krążenie czy kręgosłup?

- A jednocześnie nie można?

- Nie da się. – Pokręcił siwiejącą głową. – Na kręgosłup zastosujemy borowinę, masaż, ćwiczenia – głównie bieżnię i gimnastykę w basenie. To zajmie około pięciu godzin dziennie, jeżeli potraktuje pani rzecz poważnie. A pani, o ile zrozumiałem, chce jeszcze pracować? – Wskazał brodą maszynę do pisania. – Na leczenie krążenia nie zostanie już czasu. Więc proszę wybierać.

– Będziemy leczyć kręgosłup – zdecydowała stanowczo Nastia.

Obsługa w sanatorium istotnie była na poziomie: uwzględniając stan zdrowia Nasti, wszystkie badania, bez których nie sposób było rozpocząć kuracji, przeprowadzono bezpośrednio w numerze (w „Dolinie” tak nazywano pokoje). Przyszła pielęgniarka i pobrała krew do analizy, następnie zrobiono Nasti EKG. Po jakichś dwóch godzinach, kiedy wyniki były już gotowe, wpadła wesoła młoda śmieszka – neurolog – i, narzekając na „potwornie zaniedbane” krążenie, przepisała lekarstwo. Później przyszedł starszy internista, a na końcu, tuż przed kolacją, zjawił się lekarz prowadzący Michaił Pietrowicz, wypisał zalecenia i szczegółowo Nastię poinstruował. Na odchodnym powiedział:

– Dziś proszę odpoczywać, kolację przyniosą pani do numeru. Przed snem przyjdzie siostra i da pani zastrzyk przeciwbólowy. Jeżeli rano zdoła pani wstać, zaraz po śniadaniu proszę iść na basen, instruktorka ma na imię Katia, niech jej pani powie, że zapisałem zestaw ćwiczeń numer cztery. Ćwiczyć należy co najmniej dwie godziny, jasne? Wszystko to zapisałem w książeczce zabiegów.

I oto nazajutrz, po ćwiczeniach w basenie, Nastia maszerowała pilnie na bieżni, zaliczając zalecone kilometry, i próbowała jako tako uporządkować myśli. Musiała odpowiedzieć sobie na trzy pytania.

Pytanie pierwsze: czy małżeństwo matki, Nadieždy Rostisławowny, z ojczymem Nasti rozpadło się definitywnie? I jak do tego podchodzi sama Nastia? W przeddzień wyjazdu córki do sanatorium matka zadzwoniła ze Szwecji, gdzie pracowała od dwóch lat, zaproszona przez jeden z tamtejszych uniwersytetów, i powiedziała, że zaproponowano jej przedłużenie kontraktu jeszcze na rok i że się zgodziła. Najwyraźniej matka niezbyt tęskni za mężem i córką. Ale i ojczym, Leonid Pietrowicz, przyjął tę nowi-

nę ze stoickim spokojem; widocznie przyzwyczał się już, że żony tak jakby nie miał. Wyglądał młodo, świetnie się trzymał, był przystojny, status słomianego wdowca wcale mu nie doskwierał – i Nastia o tym wiedziała. Najbardziej zdumiewała ją własna reakcja na tę sytuację: matka jeszcze przez rok (a może i więcej, jeżeli jeszcze przedłużą jej kontrakt) będzie poza domem, ojcym na własną rękę urządzi swoje życie osobiste, a jej, Nasti, nic to nie obchodzi, jak gdyby tak właśnie powinno być, jak gdyby wszystko było w porządku. Ona nie tęskni za matką. Ojcym radzi sobie bez żony. Rodzina się rozpadła. A Nastia nie odczuwa bólu. Dlaczego? Czyż naprawdę jest pozbawiona uczuć rodzinnych? Czyż naprawdę jest taka oschła?

Pytanie drugie: dlaczego ona sama nie wychodzi za mąż? Nastia wiedziała doskonale, że tego nie chce. Ale dlaczego? Loszka gotów ją poślubić w każdej chwili, są ze sobą już ponad dziesięć lat, mieszkają jednak osobno i jej jest to na rękę. Dlaczego? To przecież nienaturalne.

I wreszcie pytanie trzecie. Wczoraj dała łapówkę. Tak, tak, nazywajmy rzeczy po imieniu, dokonała czynu karalnego. I co? Czy jest jej wstyd? Ani trochę. Czuje tylko niesmak. Anastazja Kamińska, starszy oficer operacyjny milicji kryminalnej, magister prawa, major, wcale się tego nie wstydzi. Co się z nią dzieje?

„Jestem emocjonalnym monstrem – ze smutkiem myślała Nastia, przemierzając ścieżkę bieżni – jestem potworem pozbawionym normalnych ludzkich uczuć”.

W Mieście, w którym znajdowało się sanatorium „Dolina”, panowały spokój, ład i harmonia. Rozkwitała prywatna przedsiębiorczość, ceny w sklepach komercyjnych były umiarkowane, przestępczość w porównaniu z resztą kraju wydawała się śmiesznie niska. Komunikacja działała

bez zakłóceń, drogi były dobrze utrzymane, mer Miasta dotrzymywał obietnic składanych obywatelom. A cały ten raj na ziemi zapewniał człowiek bardzo potężny – Eduard Pietrowicz Denisow.

Eduard Pietrowicz dawno zrozumiał, że w biznesie konieczna jest jeżeli już nie stabilna gospodarka, to przynajmniej stabilna władza. I skierował wszystkie swoje wysiłki, po pierwsze, na to, by administracja miejska była stała i niezmienna, a po drugie, by struktura przestępcza pozostawała jednolita i całkowicie pod kontrolą.

Denisow potrafił czekać. Śmiał się z ludzi, którzy, inwestując jednego rubla, otrzymywali nazajutrz tysiąc procent zysku, jako że wiedział, iż za dwa dni sytuacja się zmieni, ludzie ci zysk przejedzą, a następnego już nie będzie. Bez wahania wydawał pieniądze, inwestując je w przedsiębiorstwa zapewniające stabilność i nie zarabiając początkowo nic, był bowiem pewien, że później regularnie będzie otrzymywać dywidendy.

Pomagając władzom Miasta w zjednywaniu opinii publicznej, Denisow prowadził jednocześnie nieustępliwą walkę z grupami przestępczymi, usiłującymi podzielić Miasto na strefy wpływów. Jedne grupy przekupywał, z innymi się dogadywał, jeszcze inne oddawał w ręce milicji, a niektóre bezlitośnie niszczył. I wreszcie został absolutnym władcą Miasta. Teraz zaprosił do siebie kilku najinteligentniejszych i najbardziej obrotnych biznesmenów, dysponujących solidnym kapitałem, pochodzącym z przestępczej działalności gospodarczej.

– Przyjaciele – powiedział cichym głosem, ogrzewając w dłoniach lampkę koniaku – jeżeli nie macie na oku nic ciekawszego, proponuję, byście przenieśli się do Miasta, które obecnie jest świetnym miejscem do rozwijania biznesu. Administracja ma mocną pozycję i będzie was wspierać na wszelkie sposoby. Ludność jest życzliwie nastawiona do władz i bez względu na ewentualne

katakлизmy stanowiska z wyboru będą zajmować ci sami ludzie co teraz albo im podobni. Oni też zadbają o obsadzenie odpowiednimi osobami innych funkcji. Uprezdzam jednak: proponuję wam prowadzenie tylko czystych interesów. Żadnych brudów, żadnego bandytyzmu, przemytu, narkotyków, handlu dziełami sztuki. Organy wymiaru sprawiedliwości dziś są nasze. Ale jeżeli, nie daj Boże, coś się wydarzy, jutro zjawią się w Mieście ludzie z MSW. Kto wie, czego by się tu dokopali. A ja nie mam żadnej pewności, że uda mi się wpłynąć na nominacje nowych szefów milicji, prokuratury i sądu, gdyby obecnych odwołano. Włożyłem wiele wysiłku w to, by stworzyć w Mieście stabilną władzę, i nie pozwolę, by ktoś jej zagroził. We wszystkich pozostałych kwestiach macie pełną swobodę działania, ale bez konkurencji. Bo konkurencja to walka, a walka to metody siłowe, także przestępcze, co, jak już powiedziałem, jest niedopuszczalne. Na to mogę sobie pozwolić tylko ja, i to w mocno ograniczonym zakresie, zresztą dla waszego dobra. Ci z was, którzy są gotowi przyjąć moje zaproszenie, muszą się porozumieć najpierw tu, przy tym stole. I rzetelnie przestrzegać tych porozumień.

– Hm, tak, a jaka jest pańska rola, Eduardzie Pietrowiczu? – spytał zwalisty Achtamzjan, poprawiając okulary. – Czy pan wybrał już sobie sferę działania?

– Nie. – Denisow uśmiechnął się, popijając małymi łydkami koniak. – Ja w tym podziale nie uczestniczę. Zapewniam panom bezpieczeństwo w waszych poczynaniach, a wy za to utrzymujecie mnie i mój aparat.

– A jeżeli żaden z nas się nie zgodzi? – drażył nieustępliwie Achtamzjan. – Czym pan się wtedy zajmie?

Denisow wiedział, że Achtamzjan chce wyniuchać, jaka sfera działalności w Mieście rokuje największe zyski. Uśmiechnął się.

– Niczym. Po prostu zaproszę innych. Na tych samych warunkach.

Od tamtej pory minęły prawie trzy lata. Denisow odsunął się całkowicie od działalności komercyjnej, zajmował się wyłącznie, jak mawiał, utrzymywaniem ładu w przestrzeni życiowej. Między innymi stanowczo żądał od swych podopiecznych czynnego udziału w przedsięwzięciach filantropijnych, które uważał za niezawodny sposób pozyskania sympatii mieszkańców dla ojców Miasta. Początkowo nie wzbudziło to zbytniego entuzjazmu. Z czasem jednak biznesmeni przekonali się, że ich przywódca miał słuszość.

Sprawą najtrudniejszą była ochrona Miasta przed napływem obcych, grających wedle własnych zasad. Rozkwit przedsiębiorczości, wysokie i stabilne zyski sprawiły, że Miasto stało się bardzo atrakcyjne dla różnego rodzaju ugrupowań oraz działających w pojedynkę aferzystów. Jedni usiłowali włączyć się do podziału już upieczonego tortu, inni próbowali stworzyć własny biznes, jeszcze inni – po prostu podskubać dobrze prosperujących macherów przy użyciu banalnego wymuszania haraczy. Denisow miał własny wywiad i kontrwywiad. Wywiad pilnował, by członkowie organizacji przestrzegali ustalonych zasad. Kontrwywiad walczył z intruzami.

Kilka miesięcy temu Denisow poczuł, że coś jest nie w porządku, choć nie bardzo wiedział, co mianowicie. Po prostu to wyczuł. Obudził się pewnego ranka i powiedział sobie: „W Mieście coś się dzieje”. Przez kilka dni analizował swoje wrażenia, nie doszedł do żadnego wniosku i wezwał szefów wywiadu i kontrwywiadu.

– Nie mam żadnych wiadomości, żadnej pewnej informacji. Tylko pojedyncze fakty. Jakieś dziwne pogłoski w środowisku miejskich prostytutek, że podobno niektórym powiodło się lepiej niż innym. W czym się powiodło? W ostatnim roku do Miasta trzykrotnie przyjeżdżali samo-

chodami jacyś ludzie i po dwóch dniach wyjeżdżali. Kim byli? Do kogo przyjeżdżali? Po co? Do nikogo z naszych się nie zwracali. A jeśli się nie zwracali, znaczy, że myśmy to przegapili, a któryś z naszych prowadzi nieczystą grę. I jeszcze jedno. Moja wnuczka Wiera. Byłem w szkole, rozmawiałem z nauczycielami. Wiecie, co powiedzieli? Że Wiera ostatnio zaczęła się uczyć o wiele lepiej. Słyszycie? Lepiej, nie gorzej, jak się spodziewałem, biorąc pod uwagę trudny wiek i fakt, że wyraźnie przestała słuchać rodziców. Szczególnie chwaliła ją nauczycielka rosyjskiego. Nawiasem mówiąc, przyznała mi rację, że z dziewczynką coś się dzieje. Bez względu na temat wypracowania zawsze usiłuje pisać o grzechu i cenie, jaką trzeba zań płacić. A ma dopiero czternaście lat.

- Narkotyki? - Niewysoki, tłuściutki Starkow, szef wywiadu, podniósł głowę.

- Możliwe. Bardzo możliwe. Być może wszystko, co tu powiedziałem, zupełnie się ze sobą nie wiąże. Może w Mieście nie ma żadnych narkotyków. Ale tak czy owak, chcę wiedzieć, co jest grane.

Pierwsze informacje napłynęły po dwóch tygodniach. Okazało się, że miejskie prostytutki, którym się „powiodło”, znalazły jakąś lekką, dobrze płatną pracę za granicą i opuściły Miasto. Dokąd wyjechały - nie wiadomo. Jacyś ludzie przyjeżdżali samochodami do sanatorium „Dolina”, gdzie wynajmowali na parę dni jednopiętrowe pawilony, zażywali kąpeli w saunie, pili wódkę i zadowoleni wyjeżdżali. Dziwne jednak było to, że ci ludzie, sądząc ze wszystkiego, przyjeżdżali co prawda jednocześnie, ale nie razem. Byli z różnych miast i z reguły się między sobą nie znali. Chłopak, który obsługiwał ich w saunie, ani razu nie słyszał, żeby zwracali się do siebie na „ty”. Co się zaś tyczy wnuczki Denisowa, Wieroczki, to po prostu się zakochała. Przeżywała namiętny romans ze studentem instytutu pedagogicznego, który odbywał praktykę

w szkole i uczył chemii oraz biologii. Informatorzy utrzymywali, że student zachowuje się przyzwoicie i nie przekracza dozwolonych granic.

Denisowa jednak to nie uspokoiło. Umówił się z psychologiem i poprosił go o radę.

– Czy dzisiejsza czternastolatka może uważać miłość za grzech, który należy odpokutować? – zapytał wprost Eduard Pietrowicz, który nie lubił niczego owijać w bawełnę.

– Oczywiście, może, jeżeli była niewłaściwie wychowywana.

– Co to znaczy „niewłaściwie”?

Psycholog wyjaśnił szczegółowo, co ma na myśli. Dowiedziawszy się, że syn Eduarda Pietrowicza i jego żona są ludźmi całkowicie normalnymi, córkę wychowywali właściwie i w ich rodzinie nie zdarzały się żadne ekscesy, które mogłyby zachwiać psychiką dziewczynki, powiedział:

– Mogę panu to wyjaśnić, pod warunkiem że da mi pan słowo, że nie zacznie pan krzyczeć: „To niemożliwe, jak pan śmie!”

– Daję słowo.

– A oto wyjaśnienie – niekonwencjonalny seks, zбочenia seksualne.

– Ależ co pan! – oburzył się Eduard Pietrowicz. – Gdyby ją pan widział... Krucha, delikatna, włosy jasne jak len, dziecinna buzia. Ma czternaście lat, a wygląda zaledwie na dwanaście. Wiera to istota absolutnie niewinna, jak niemowlę. Gdyby pan podejrzewał narkotyki, mógłbym się zgodzić. W końcu za pierwszym razem ktoś mógłby jej podsunąć tę truciznę podstępem albo nawet przemocą, a potem po prostu stałaby się niewolnicą tego świństwa. Potworne, ale przynajmniej wytłumaczalne. To, o czym pan mówi, robi się świadomie i dobrowolnie. Nie, to absolutnie wykluczone, po prostu niemożliwe!

- Dał mi pan słowo - przypomniał z wyrzutem psycholog.

- Przepraszam... Dziękuję za konsultację. Oto pańskie honorarium. - Eduard Pietrowicz położył na biurku kopertę i wyszedł.

Był bardzo niezadowolony z wizyty. Wracając do domu, myślał o tym, że na najbliższej radzie trzeba będzie zaproponować ufundowanie na miejskim uniwersytecie specjalnego stypendium dla studentów psychologii. Może to sprawi, że zaczną się pilniej uczyć. Obecny poziom przygotowania specjalistów Eduard Pietrowicz uznał za skandaliczny.

Niebawem nastąpił pierwszy alarmujący incydent. Do szpitala miejskiego trafił z pęknięciem podstawy czaszki Wasilij Gruszyn, który na polecenie szefa wywiadu Starkowa sprawdzał szczegóły imprezek w pawilonach sanatorium. Gruszyn, przywieziony w bardzo ciężkim stanie, po operacji nie odzyskał przytomności. Kiedy na kilka minut przyszedł do siebie, była przy nim tylko pielęgniarka.

- Niech pani zapisze... telefon... - wyszeptał Gruszyn, z trudem poruszając ustami. - Powie... nazwisko Makarow... Zadzwo... ni...

- Proszę się nie denerwować, zadzwonię - uspokajająco obiecała siostra i pobiegła po lekarza.

Dziesięć minut później Gruszyn zmarł.

- Myśli pan, żeby zadzwonić? - spytała siostra, obracając w palcach kartkę z numerem telefonu.

- Jak pani chce. - Doktor Wdowienko wzruszył ramionami. - Za to na milicję zadzwoniłbym na pewno. To sprawa kryminalna, sama pani rozumie. Albo proszę powiedzieć śledczemu, wczoraj siedział tu cały dzień, czekając, aż Gruszyn odzyska przytomność. Dzisiaj znowu ma przyjść.

- Dobrze. - Dziewczyna westchnęła i podniosła słuchawkę.

- Co się wyprawia w Mieście? - gniewnie pytał Denisow siedzącego przed nim mężczyznę. - Pytam pana, co to za organizacja, która pozwala sobie zabijać moich ludzi? Skoro się posunęli aż do tego, znaczy, że Gruszyn dotarł do czegoś bardzo ważnego. Co takiego dzieje się u nas, o czym nic nie wiemy? Jak pan może to wyjaśnić?

- Jesteśmy tylko ludźmi, Eduardzie Pietrowiczu - spokojnie odrzekł rozmówca. - Gdybyśmy wiedzieli wszystko o wszystkich, nie byłoby problemu walki z przestępczością. Czemu właściwie tak się pan zdenerwował? Przecież nie po raz pierwszy traci pan ludzi.

- Ale zawsze wiedziałem, dlaczego ich tracę i kto jest temu winien, nawet jeśli pan o tym nie wiedział. A teraz nie panuję nad sytuacją i to mnie bardzo niepokoi. Jak rozumiem, nie ma żadnych szans na wykrycie sprawy?

- Minimalne - potwierdził rozmówca, rozkładając ręce.

- Oczywiście - przyznał Denisow. - Nazwisko Makarow to żadna poszlaka. Równie dobrze mógłby być Iwanow czy Sidorow. Nie mamy czasu sprawdzać wszystkich Makarowów w Mieście. Zwłaszcza że, biorąc pod uwagę inwazję przybyszów z innych miast, ten Makarow może wcale nie być tutejszy. Co pan jest w stanie mi zaproponować?

- Tylko jedno. Posłać człowieka do „Doliny”. Niech tam siedzi i może uda mu się dowiedzieć, kto zacz ten Makarow.

- Ma pan kogoś odpowiedniego?

- Chyba pan żartuje. Moich ludzi można policzyć na palcach. Mógłbym kogoś oddelegować na tydzień, dwa, ale nie dłużej. I tak nie mam kim pracować.

- Dobrze, poślę tam swojego.

- A przy okazji, skoro się już spotkaliśmy, przeprowadźmy bilans ostatnich pięciu miesięcy. Uwzględniając średnią wykrywalność, możemy sobie pozwolić na góra dziesięć niewykrytych przestępstw w ciągu roku. Połowę rezerwujemy na okolice wiejskie i nieprzewidziane wypadki. Pańska rezerwa to pięć. Ale to maksimum, już na granicy ryzyka. Po odjęciu zabójstwa Gruszyna zostaje cztery.

- Dobrze, dobrze, zgódźmy się na trzy. - Denisow kiwnął głową. - Teraz mamy lipiec. Czyli do końca roku pozostały mi do dyspozycji dwa wypadki. Jeden, jak pan pamięta, wykorzystałem w lutym.

- Pamiętam.

Następnego dnia Eduard Pietrowicz Denisow osobiście złożył wizytę naczelnemu lekarzowi sanatorium „Dolina”.

Nastia Kamińska oderwała się od maszyny, narzuciła na ramiona kurtkę i wyszła z papierosem na balkon. Balkon był wspólny dla dwóch numerów: dwuosobowego Nasti i jednoosobowego. Prawie natychmiast drzwi jednoosobowego numeru się otwały i w progu stanęła wsparta na lasce tęga starsza pani.

- Dzień dobry. - Uśmiechnęła się życzliwie. - Będziemy sąsiadkami. Jestem Regina Arkadjewna.

- Bardzo mi miło. Anastazja - przedstawiła się Nastia, ściskając wyciągniętą dłoń.

Starsza pani wzdrygnęła się z zimna.

- Słyszę, że pani ciągle pisze na maszynie. Praca?

- Uhm - wymruczała niewyraźnie Nastia.

- Kiedy zrobi sobie pani przerwę, proszę wpaść do mnie na filiżankę herbaty. Mam wspaniałą angielską herbatę. Przyjdzie pani?

- Dziękuję, z przyjemnością.

Nastia wróciła do powieści kryminalnej Eda McBane'a z twardym postanowieniem, że nie pójdzie na herbatę do Reginy Arkadjewny. Powieść, którą tłumaczyła, była nie-duża, liczyła zaledwie 170 stron. Jeśli ma skończyć pracę w czasie pobytu w sanatorium, to norma dzienna powinna wynosić 9. Nastia tłumaczyła szybko, bez trudu wyrabiała normę w drugiej połowie dnia, po zabiegach. Mogłaby nawet zmniejszyć normę, jako że po powrocie do Moskwy zostawało jej jeszcze trzydzieści dni urlopu. Postanowienie, żeby nie iść z wizytą do sąsiadki, nie miało nic wspólnego z pracą. Szczerze mówiąc, Nastia bała się, że starsza pani może być natrętna i stanie się dla niej ciężarem. „To wstrętne – pomyślała, wkręcając w maszynę czystą kartkę. – Nie mam współczucia nawet dla starości. Cóż, bez wątpienia to jakiś defekt moralny”.

Zatopiona w pracy, Nastia przegapiła kolację – tak wciągnął ją konflikt między detektywem Steve'em Carellą a jego młodym partnerem Bertem Clingiem. Około dziesiątej wieczorem poczuła głód. Odłożyła przekład i włączyła czajnik. Zapukano do drzwi. Weszła sąsiadka z kolorowym pudełkiem w ręku.

- Została pani bez kolacji, ma pani przerwę i zamierza napić się herbaty. Albo kawy. Nie mylę się?

- Ani trochę. - Nastia uśmiechnęła się. - Zechce mi pani towarzyszyć?

- Bardzo chętnie. - Regina Arkadjewna ciężko usiadła na krześle i oparła łaskę o ścianę. - Licząc na filiżankę kawy, przyniosłam nawet herbatniki. Ale proszę pamiętać, moja droga, że przyszłam do pani po raz pierwszy i ostatni.

- Dlaczego?

- Dlatego że pani jest młoda, Nastieńko, a poza tym zajęta. Moje wizyty mogą panią drażnić, a ja nie lubię, kiedy się mnie toleruje z grzeczności. Zacerwieniła się

pani? Czyli że mam rację. Wobec tego dzisiaj się poznamy, a później, jeśli pani zechce, będzie pani sama do mnie przychodziła.

Nastia nalala wrzątek do filiżanek i popatrzyła w twarz starszej pani. Wygląda na to, że można z nią rozmawiać bez reweransów.

– Jest pani bardzo przenikliwa, Regino Arkadjewno – powiedziała spokojnie.

– Ależ skąd, dziecino, po prostu jestem wystarczająco stara. A właśnie, nad czym pani pracuje? Widzę tu słowniki. Jest pani tłumaczką?

– Tak – bez wahania skłamała Nastia. Opowiadać o pracy w organach ścigania byłoby głupio, a co do kwalifikacji, ona, Nastia, absolutnie nie ustępuje profesjonalnym tłumaczom.

– Z jakiego języka?

– Z angielskiego, francuskiego, hiszpańskiego, włoskiego, portugalskiego.

– No, no! – zdumiała się Regina Arkadjewna. – Jest pani prawdziwą poliglotką. Jak się to pani udało? Wychowała się pani za granicą?

– Nie, skąd. Całe życie mieszkałam w Moskwie. W gruncie rzeczy to wcale nie takie trudne. Trzeba tylko porządnie opanować jeden język, a potem im dalej, tym łatwiej. Naprawdę.

Tu Nastia nie kłamała. Rzeczywiście dobrze znała pięć języków. Jej matka, profesor Kamieńska, była wybitną specjalistką od programów komputerowych do nauki języków obcych. Opanowanie nowego języka było w rodzinie czymś tak naturalnym i zwyczajnym jak czytanie książek, sprzątanie i gotowanie. Francuskim Nastia władała od czasu, gdy zaczęła mówić. Później, kiedy miała siedem lat, przyszła kolej na włoski, po którym hiszpański i portugalski okazały się już zupełnym głupstwem. Angielski Nadieżda Rostisławowna pozostawiła szkole, uważając

go za najłatwiejszy (z uwagi na brak rodzajów rzeczowników i szcążkową koniugację). „Najważniejsze – mówiła córce – to nauczyć się automatycznie używać rodzajników i posługiwać się czasownikami „być” i „mieć”. Cała reszta to kwestia techniki i pilności”.

Matce udało się nie tylko rozwinąć w Nastii zdolności do języków obcych, ale także obudzić żywe zainteresowanie nimi. W każdym razie Nastia sama zakuwała z przyjemnością zasady gramatyki i słownictwo, aby trenować pamięć i, jak mówiła, rozwijać myślenie „analogowe”.

– Co pani tłumaczy? Literaturę naukową? – zainteresowała się sąsiadka.

– Nie, piękną. Kryminał. Bardzo wciągający.

– Tak? – Regina Arkadjewna popatrzyła na Nastię jakoś dziwnie. – Nigdy bym nie pomyślała, że pani lubi kryminały.

– A to czemu? Kryminały to wspaniała rzecz – zaopiniowała Nastia.

– Być może, być może – powtarzała w zamyśleniu Regina Arkadjewna. – Sądziłam, że powinna pani mieć inne upodobania. Widocznie się myliłam. Młoda kobieta, wykształcona, kulturalna, pracowita, niezainteresowana seksem... Powinna pani lubić Sartre’a, Hessego, Carpentiera, może Camusa. Ale w żadnym razie kryminały. Tylko niechże się pani nie gniewa na staruszkę, zapewne mam wypaczone poglądy na sztukę. Widzi pani, przez całe życie uczyłam w szkole muzycznej, w klasie fortepianu. Teraz oczywiście jestem na emeryturze, ale uczniowie przychodzą do mnie do domu. Podobno mam szczęśliwą rękę – uśmiechnęła się krzywo – do wynajdywania samorodków. Mnóstwo ludzi w pocie czoła płucze złotonośny piasek. Potem przychodzi obcy człowiek, zabiera piasek, przetapia na sztabki i odsyła do jubilera. A jubiler robi z tego światowej klasy arcydzieło. Jubiler zbiera laury, a o tym, kto stracił zdrowie na płukaniu

piasku, nikt nawet nie wspomni. Czy na przykład pani, Nastiu, wie, kto to była Rosina Lhevinne?

- Pedagog z Juilliard School of Music - szybko odpowiedziała Nastia, gratulując sobie w duchu dobrej pamięci.

- No widzi pani! - wykrzyknęła z triumfem Regina Arkadjewna. - Nazwisko Rosiny Lhevinne zna cały świat, chociaż nie była koncertującą pianistką, tylko zwykłym pedagogiem. A u nas? Może mi pani wymienić nauczycieli Richtera, Gilelsa, Sokołowa? Nie tych, pod których kierunkiem zwyciężali na konkursach, ale tych, którzy uczyli ich nut, układali im rękę, płukali w czasie codziennych lekcji złoty piasek, z którego potem powstała sztabka. A wspaniały Pietrow, kto go uczył? W naszej kulturze nie ma szacunku dla nauczycieli. Jedynie kiedy nauczyciel jest wybitną, znaną postacią, mówimy: uczył go sam... Przepraszam, kochanie, że mnie tak poniosło. Lepiej zmienmy temat.

- Zmieńmy - zgodziła się Nastia. - Na przykład pomówmy o tym, dlaczego pani sądzi, że nie interesuje mnie seks.

- O, to bardzo proste. - Starsza pani machnęła ręką. - Przyjechała pani do sanatorium, które zasłużenie cieszy się opinią burdelu. Dokładnie połowa numerów to pokoje jednoosobowe, więc nie ma żadnych kłopotów z sąsiadami. Nikt nie pilnuje przestrzegania reżimu, więc choćby przez całą noc można biegać z numeru do numeru. Dwa bary, oba otwarte do północy, co wieczór potańcówki, sklep, w którym zawsze można kupić alkohol i zakąskę. I absolutna swoboda obyczajów. Wiem to dobrze, mieszkam przecież w tym mieście i dwa, trzy razy do roku odbywam kurację w „Dolinie”. A pani przyjeżdża tu ze słownikami i maszyną do pisania, ubiera się skromnie, nie maluje. No to jakie wnioski mogłam wyciągnąć?

„To nie staruszka, ale istny Sherlock Holmes – pomyślała Nastia. – Czy rzeczywiście połowa pokoi to jednoosobowe? Sprytna ta recepcjonistka – zrobiła mnie na szaro”.

Do zamknięcia baru zostało jeszcze piętnaście minut. Gości było niewiele. Muzyka grała nie ogłuszająco, ale na tyle głośno, by sąsiedzi nie mogli słyszeć rozmowy prowadzonej przy stoliku w kącie.

– Dlaczego ona mieszka w dwuosobowym numerze?

– W książce meldunkowej jest notatka „nie dokwaterowywać”. Pytałem recepcjonistkę, ale nic nie wie. Wczoraj miała dyżur Jelena Jakowlewna, to ona przyjmowała Kamieńską. Oczywiście poprosiłem, żeby recepcjonistka zadzwoniła do Jeleny do domu i wypytała o Kamieńską. Jelena twierdzi, że był jakiś telefon, żeby umieścić ją samą w dwuosobowym numerze. Co w tym dziwnego? Tak czy owak, w sanatorium jest sporo wolnych miejsc, to nie sezon, a skierowania drogie.

– Wobec tego nie rozumiem, dlaczego nie dano jej pokoju jednoosobowego. Gdzie ona pracuje?

– Nigdzie. Jest tłumaczką, wolnym strzelcem.

– Dziwne. Spróbuj się dowiedzieć, od kogo był ten telefon. Nie podoba mi się ta Kamieńska. Jest w niej coś nienaturalnego.

ROZDZIAŁ 2

Dzień trzeci

Po dobowym dyżurze recepcjonistce „Doliny” Jelenie Jakowlewnie należały się trzy dni wolne. Ale chaotyczne życie sanatorium, gdzie planowe turnusy przeplatały się

z przyjazdami indywidualnymi, gdzie skierowania sprzedawano zarówno centralnie, jak i bezpośrednio na miejscu, a były to skierowania i na dwadzieścia cztery dni, i na dwanaście, i na siedem, i nawet na trzy doby (dla chcących poświęcić weekend na zabiegi lecznicze) – owo zatem chaotyczne życie wymagało nieustannego kontaktu dyżurujących recepcjonistek między sobą oraz z innymi pracownikami sanatorium. Dlatego też Jelena Jakowlewna wcale się nie zdziwiła, kiedy już po raz drugi zadzwoniono do niej w sprawie Kamieńskiej.

Udostępnianie jednoosobowych numerów za łapówki praktykowała od dawna, ani razu nie miała wpadki, i to przytępiło nieco jej czujność. Fakt, z tą całą Kamieńską strzeliła gafę, a kiedy się połapała – było już za późno. Jak mogła zapomnieć, że jakieś dziesięć dni wcześniej do sanatorium zatelefonowano z urzędu spraw wewnętrznych Miasta i poproszono o przydzielenie tej moskwiance jednoosobowego numeru! Po prostu całkiem wyleciało jej to z głowy! A wczoraj, kiedy zadzwoniła dyżurująca tego dnia Borkowa i zapytała, dlaczego do numeru 513 „nie dokwaterowywać”, Jelena Jakowlewna z nawyku skłamała, że był w tej sprawie telefon. W sanatorium tej klasy takie „telefony” były czymś zwykłym, nigdzie ich nie rejestrowano i nigdy nie sprawdzano. Jednak zaraz po odłożeniu słuchawki urzędniczka przypomniała sobie, że telefon był naprawdę, a w dodatku z wydziału spraw kryminalnych. Ach, jak głupio wyszło!

Po namyśle Jelena Jakowlewna doszła jednak do wniosku, że chyba nic strasznego się nie stało. Dlaczego Kamieńska nie powiedziała sama, że w jej sprawie dzwoniło? Bo było jej niezręcznie. Albo z jakiegoś powodu nie chce mieć zobowiązań wobec tego kogoś, kto telefonował. Zamiast tego wolą zapłacić, chociaż, sądząc po ubraniu, taka suma to dla niej niemało. Znaczy, że, po

pierwsze, nie jest żadną szyczą, jeśli wstydzi się korzystać z pleców, a po drugie, jest „biedna, ale dumna”. Przez długie lata pracy w sanatorium Jelena Jakowlewna nauczyła się od pierwszego rzutu oka rozpoznawać, od kogo można się spodziewać zażaleń i kłótni. Osoba taka jak Kamińska nie będzie się skarżyć i dochodzić swoich praw. Co więcej, jeżeli głupio jej korzystać ze znajomości, to tym niezręczniejsz będzie się przyznać, że dała łapówkę. A więc jeżeli jej protektor jest z milicji i zapyta, dlaczego Kamińska mieszka w dwuosobowym numerze, ta powie, że to bez znaczenia, bo i tak mieszka sama, a w dwuosobowym jest więcej miejsca.

Rozważywszy to wszystko, Jelena Jakowlewna uznała, że zdemaskowanie jej nie grozi. Ale tak w ogóle cała ta sytuacja wygląda dość dziwnie. Dlaczego Kamińską koniecznie trzeba było umieścić w jedyńce? Recepcjonistka postanowiła się na wszelki wypadek zaasekurować i powoływać w razie czego na telefon nie z miejskiego urzędu spraw wewnętrznych, ale z samego MSW. MSW to poważna instytucja; jeżeli poprosili, żeby umieścić Kamińską samą w dwuosobowym numerze, to znaczy, że tak było trzeba. I nikt nie będzie sprawdzać.

Kiedy zadzwoniono do niej nazajutrz, tak właśnie powiedziała: w sprawie Kamińskiej był telefon z MSW.

Jurij Fiodorowicz Marcew cierpliwie i drobiazgowo wyjaśniał przez telefon swój reżyserski zamysł.

– W kadrze koniecznie musi być chłopiec w wieku siedmiu–ośmiu lat. Inaczej wszystko traci sens.

– Treść ma być ta sama?

– Tak, tak, treść ta sama. Rozumie pan, w pierwszej wersji chłopiec jest w domyśle, „grają” go i matka, i sama scena, tak jak świta „gra” króla. A samego chłopca nie widać. Teraz chcę, żeby był.

- Ależ proszę zrozumieć, to niemożliwe. Nie możemy zmusić dziecka, żeby w tym uczestniczyło.

- Wymyślcie coś. Może jakiś montaż? Ja nie wiem, w końcu to wy jesteście specjalistami!

- Nie można się jakoś obejść bez dziecka?

- Nie. Na nim zasadza się cały sens sceny.

- Dobrze, dobrze, pomyślimy. Wyobraża pan sobie, ile to będzie kosztować?

- To mój problem i ja go rozwiążę. I niech pan nie zapomni, że suknia musi być dokładnie taka jak na zdjęciu.

Jurij Fiodorowicz rozłączył się, przekartkował w zadumie notes i znów wybrał numer. Kiedy podniesiono słuchawkę, powiedział krótko:

- Tu Marcew. Zgadza się.

I ostatni telefon.

- Mama? Dzień dobry. Jak się czujesz?

Po pracy Żenia Szachnowicz, sympatyczny jasnooki blondyn, zatrudniony w „Dolinie” jako elektryk, zaczął układać plan na najbliższe dni. Mimo dość nonszalanckiego sposobu bycia Żenia był strasznie, niekiedy aż do znudzenia metodyczny i lubił wszystko robić według planu.

A więc, po pierwsze, kobiety. Po letnim sezonie w sanatorium wyraźnie przybyło młodzieży. Z jednej strony, oznaczało to, że jest więcej młodych kobiet, którym można nadskakiwać. Z drugiej – pojawiło się też więcej mężczyzn w odpowiednim wieku, którzy mogą się okazać przydatni. Najważniejsze to właściwie rozłożyć siły.

Kobiet, które energiczny elektryk pomiął, było obecnie dwadzieścia cztery. Z tego piętnaście bardzo ładnych, sześć niczego sobie, jak je ocenił, i trzy pokraki. Jednak Żenia w wyborze obiektu zalotów nie kierował się

wyglądem. Zrobiwszy w myślach przegląd wszystkich kandydatek, Szachnowicz zajął jeszcze do leżącej przed nim listy i postanowił wziąć na cel cztery kobiety.

Pierwsza – młodziutka ruda dziewczyna z prześlicznymi piegami, mieszkająca w dwuosobowym numerze obok apartamentu.

Druga – atrakcyjna brunetka lat około trzydziestu pięciu ze wspaniałymi brylantami w uszach i na palcach. Z tą pójdzie łatwiutko, rozważał Żenia – noszenie brylantów w sanatorium świadczy o głupocie.

Trzecia – niepozorna blondynka w nieokreślonym wieku, nie stroi się, nie maluje. Pewnie stara panna. Takie kobiety bywają bardzo spostrzegawcze i złośliwe. Chyba trzeba się nią zająć w pierwszej kolejności.

Czwarta „ofiara” Szachnowicza wypoczywała w „Dolinie” razem ze starą matką. Właściwie to Żenię interesowała raczej matka, która całymi dniami, otulona w pled, wysiadywała na leżaku na balkonie i pewnie widziała masę ciekawych rzeczy.

Teraz mężczyźni. Trzeba wybrać dwóch, którzy przyjechali osobno, ale mieszkają razem. Do zrealizowania zamysłu Żenia potrzebował mężczyzn, którzy wcześniej się nie znali, ale w sanatorium zdążyli się zaprzyjaźnić na tyle, by chętnie spędzać razem czas, a potem żeby się rozjechali każdy w swoją stronę i, jak to się mówi, co z oczu, to z serca. Obserwując kuracjuszy, Szachnowicz wytypował sobie już wstępnie kilka osób, teraz pozostawało tylko dokonać ostatecznego wyboru. Zastanawiał się parę minut, jeszcze raz zerknął dla pewności na plan pięter, po czym wziął walizeczkę z narzędziami i zdecydowanym krokiem ruszył do numeru 240.

Nastia dopisała kolejny akapit i sięgnęła po zegarek. Może już pora kolacji? Czują silny głód. Zegarka nie by-

ło na miejscu. Zajrzała pod papiery na stole, do szafki nocnej, sprawdziła kieszenie – nic. Myśląc, że zegarek mógł upaść na podłogę, ostrożnie uklękła, jedną ręką trzymając się za krzyż, drugą opierając o krzesło, i zajrzała pod biurko, ale i tam nic nie znalazła. Zauważyła za to w samym rogu, obok nogi biurka, gniazdko telefoniczne. Widać nie wszystko w „Dolinie” zachowało się nietknięte od czasów „zastoju” – telefony z pokoiów jednak pozabierano. Gdzież jest ten zegarek? Najprawdopodobniej zostawiła go w gabinecie masażysty. Tak, na pewno tam.

Otworzyła drzwi na balkon, żeby wywietrzyć dym papierosowy, zamknęła pokój i oszkloną galerią poszła do drugiego skrzydła, gdzie mieściły się gabinety zabiegowe i basen. Siedzący na dole stróż poinformował ją, że masażysta pracuje do szesnastej, a otwierać gabinetu bez jego wiedzy mu nie wolno, chociaż klucz oczywiście ma. Nastia zaśmiała się w duchu, przekładając w myślach te słowa na język chamsko-urzędowy: „Oczywiście, mógłbym ci pomóc, ale mam prawo odmówić i bardzo lubię z tego prawa korzystać, bo to mi daje poczucie władzy. Ale jeśli ładnie poprosisz, jeśli się upokorzysz, to może pójdę ci na rękę”. Wszystko to było tak wyraziste, wypisane wielkimi literami na twarzy starego, że Nastia odwróciła się i odeszła. Dość miała upokorzenia doznanego w dniu przyjazdu.

Po wyjściu na dwór uświadomiła sobie, że zegarek mógł zostać w szatni przy basenie, więc skrzyżowała róg i podeszła do drugiego wejścia. Babcia, która pilnowała tej części skrzydła, okazała się nastawiona o wiele życzliwiej i spokojnie Nastię wpuściła. Nastia przeszukała całą damską szatnię, ale bez rezultatu. Idąc w zamyśleniu korytarzem, usłyszała nagle dobiegające zza drzwi głosy. Jeden był nieznanym męskim barytonem, drugi należał do instruktorki pływania Kati. Nastia poznała ją po charakterystycznej wymowie „r”.

- ...ładna. Wygląda na ręczną robotę. Skąd wytrzasnąłeś takie чудо? - pytała Katia.

- Dostałem w prezencie - odparł mężczyzna.

- Chętnie kupiłabym taki mężowi.

- A ja myślałem, że tylko my, mężczyźni, zdradzając żony, dajemy im prezenty. Czyżbyś miała poczucie winy, ptaszynko?

- A idźże do licha! - Katia roześmiała się.

Wracając do siebie, Nastia pomyślała, że sąsiadka staruszka chyba nie przesadziła, mówiąc o swobodzie obyczajów w „Dolinie”. Na kolację znów się spóźniła. Sprawdziwszy zapas kawy, zajrzawszy do pudełka z herbatnikami pozostałymi po wczorajszej wizycie sąsiadki i przeliczywszy gotówkę, Nastia postanowiła zjeść coś w barze. I tak będzie musiała prosić ojczyma, żeby jej przysłał trochę pieniędzy.

W barze było nawet przyjemnie. Przytłumione światło, miękkie narożnikowe kanapy, obrazy na ścianach, niesłychanie uprzejmy młodzieniec za kontuarem. Nastia wzięła kawę i dwa ciastka, usiadła przy stoliku pod oknem i zamyśliła się nad zdaniem, które, jak jej się wydawało, przetłumaczyła niezbyt zręcznie.

- Pozwoli pani?

Staął przed nią z filiżanką w ręku sympatyczny blondyn w dżinsach, jasnej włoskiej koszulce i skórzanej marynarce. W barze było sporo wolnych stolików. Blondyn wyraźnie zamierzał zawrzeć znajomość. Nastia uśmiechnęła się promiennie.

- Lubi pan wyglądać przez okno?

Zastawiła prymitywną pułapkę i była ciekawa, czy blondyn się w nią złapie.

- Tak, stąd jest bardzo ładny widok - odparł ten skwapliwie, stawiając filiżankę na stoliku i siadając obok Nasti.

- W takim razie nie będę panu przeszkadzać. Mnie jest obojętne, gdzie siedzę. - Uśmiechając się jeszcze promienniej, Nastia zabrała swoją filiżankę, talerzyk z ciastkami i odeszła do innego stolika.

Nie chciała być nieuprzejma, ale nie miała też zamiaru zawierać znajomości z blondynem. Już dawno zauważyła, że pewne zwroty stawiają ludzi w sytuacji bez wyjścia. Przypominało jej to grę, której zasady ustanowiono nie wiadomo kiedy i w którą wszyscy, czy tego chcą, czy nie, muszą grać. Co odpowiedzieć, kiedy ktoś pyta: „Pozwoli pani?” - „Nie, nie pozwolę”? Niegrzecznie. Odpowiedzieć „tak” - to dać pretekst do nawiązania rozmowy. A jeżeli ona nie chce rozmawiać? Ma siedzieć z nadętą miną i milczeć? To także nieuprzejme.

Skończyła drugie ciastko, dopiła kawę i już zbierała się do wyjścia, kiedy blondyn znów się przed nią pojawił.

- Chcę pani pogratulować, zdała pani test na piątkę - oznajmił uroczyście.

Nastia spojrzała nań zdziwiona, bez słowa unosząc brwi.

- Oryginalnie i z klasą dała mi pani do zrozumienia, żebym się odczepił, i zrobiła to pani niezwykle uprzejmie. Bravo! Zazwyczaj dziewczęta kłamią, że stolik jest zajęty, chociaż siedzą same przez cały wieczór, albo odpowiadają niegrzecznie. Anastazjo Pawłowno, jest pani jedyna w swoim rodzaju. Więc stanowczo nie chce pani, żebyśmy się poznali?

- A po co? - Nastia wzruszyła ramionami. - Pan i tak wie o mnie wystarczająco dużo: zna pan imię, imię ojca i wie pan nawet, że jestem oryginalna i jedyna w swoim rodzaju. Chce pan wiedzieć jeszcze coś?

- Niechże się pani nie gniewa, Anastazjo Pawłowno, po prostu nadużyłem nieco stanowiska służbowego i sprawdziłem w recepcji, jak się nazywa czarująca pani z numeru 513, która całymi dniami pilnie jak pszczołka

stuka na maszynie i na której widok zapiera mi dech w piersiach. Jeżeli zawiniłem, niech mnie pani ukarze. *Mea culpa.*

Ze skruszoną miną blondyn pochylił głowę w ostentacyjnym ukłonie. Nastia wyjęła papierosa, zapaliła, przez chwilę milczała.

– Drogi panie, mam oczy, a ludzkość, za co niech jej będą dzięki, wynalazła lustro. Mam więc możliwość widzieć i pana, i siebie. Pan jest młody, przystojny, pełen sił. Ja jestem od pana starsza, słabego zdrowia, a co najważniejsze – całkowicie pozbawiona kobiecej atrakcyjności. I ubrana bardziej niż skromnie. Interesować się mną jako kobietą nie może pan w żadnym wypadku, to nie ulega wątpliwości. Poza tym widać od razu, że jest pan inteligentny i bardzo pomysłowy. Moją odpowiedź zrozumiał pan właściwie i zareagował na nią dowcipną improwizacją. Zmuszona jestem wyciągnąć wniosek, że czegoś pan ode mnie potrzebuje.

Tu zrobiła pauzę, żeby dać blondynowi możliwość repliki. Sytuacja przestała ją bawić, Nastia była już zła. Czego od niej chce ten przystojniaczek? Szybko przebiegła myślą wszystkie sprawy, nad którymi pracowała przed urlopem. Może to „ogon”, który ciągnie się za nią z Moskwy? Albo ktoś z miejscowej milicji, przysłany, by sprawdzić, jak się urządziła, oczywiście przy założeniu, że szef wydziału kryminalnego Siergiej Michajłowicz nagle sobie przypomniał, że nie dotrzymał obietnicy danej Gordiejewowi. Mało prawdopodobne, fakt, ale w życiu zdarzają się niespodzianki.

– Więc nic mi pan nie powie? No to miłego wieczoru.

Zgasła papierosa i wstała.

– Ma pani cudowny uśmiech – powiedział smutno młody człowiek.

„To nie mój uśmiech, ukradłam go pewnej aktorce. Ćwiczyłam cały tydzień, żeby się go nauczyć. Używam

go na specjalne okazje: kiedy na przykład chcę się wydać szczególnie ujmująca, jak dzisiaj. Nie jesteś głupi, chłopcze, o nie. Ale przynajmniej w jednej sprawie zdołałam cię oszukać” – myślała Nastia, idąc po schodach. Cieszyło ją, że tak łatwo uwolniła się od blondyna. I to był jej pierwszy błąd.

Podczas nieobecności Nasti pokój mocno się wychłodził. Nastia postanowiła wziąć gorący prysznic, dopóki w pokoju znów nie zrobi się ciepłej. Masując palcami ćmiący krzyż, z rozkoszą podstawiła plecy pod parzące strumienie wody. Porządnie rozgrzana, wytarła się ręcznikiem i nie patrząc, spróbowała dosięgnąć stopą do gumowych kłapek. Czując pod podeszwą wilgotną, zimną płytkę terakoty, spojrzała w dół: klapki stały trochę dalej i nie tak, jak je postawiła po powrocie z basenu. Dziwne. Przez wiele lat ten ruch stał się u niej automatyczny: gdziekolwiek się znajdowała – w domu, w delegacji – zawsze stawiała japonki tak, by wychodząc spod prysznic, mogła ich dosięgnąć stopą. Czując niemły chłodek w żołądku, szybko otuliła się ciepłym szlafrokiem i wyszła z łazienki. Na pierwszy rzut oka wszystko było w porządku. Przyjrawszy się jednak uważniej, Nastia zrozumiała: ktoś tu był, ktoś szperał w jej rzeczach.

Gwałtownie przykłęka i omal nie krzyknąwszy z ostrego bólu, wyciągnęła spod łóżka nesesor. Nesesor był wepchnięty nieco głębiej, ona sama nigdy by go tak nie postawiła, wiedząc, że pochylanie się sprawia jej ból. Rozpięła suwak zewnętrznej kieszeni. Dzięki Bogu, legitymacja jest na miejscu i tkwi dokładnie tak, jak ona ją zazwyczaj wsuwa.

Wepchnąwszy torbę z powrotem, Nastia ostrożnie wyprostowała nogi i oparła się plecami o łóżko. Musiała się zastanowić.

W numerze 240 trzej mężczyźni pili koniak.

Jeden, moskwianin Kola Alfierow, przyjechał do „Doliny”, by doleczyć urazy po wypadku samochodowym. Był kierowcą, woził mercedesem dyrektora generalnego spółki akcyjnej. Wypadek nastąpił nie z winy Koli, który był świetnym kierowcą, toteż nie musiał płacić za szkody. Ale złamana ręka zrosła się nieprawidłowo, wywiązały się jakieś komplikacje i lekarz doradził Alfierowowi wyjazd do sanatorium – właśnie do „Doliny”, gdzie dobrze leczono urazy i schorzenia narządów ruchu.

Niewysoki, szczupły, o silnych, wyrobionych mięśniach Kola mimo dość pospolitego wyglądu nigdy nie narzekał na brak powodzenia u kobiet. Od dzieciństwa uprawiał sport, uczestniczył w wyścigach kolarskich, całe miesiące spędzał na obozach treningowych i zgrupowaniach sportowych i tak się nasycił towarzystwem młodych dziewcząt, że w wieku dwudziestu lat przestał zwracać na nie uwagę. Zaczęły mu się podobać kobiety dojrzałe. Wydawały się Koli mądrzejsze, były spokojniejsze, bardziej doświadczone, dobrze gotowały i umiały stwarzać miłą atmosferę, a przede wszystkim – nie usiłowały się za niego wydać. Młode dziewczyny patrzyły głównie na twarz, a kobiety dojrzałe cenią raczej sprawne ciało i nie dostrzegają ani złamanego nosa, ani wczesnej łysinki, ani niskiego wzrostu.

Drugi mieszkaniec numeru 240 był całkowitym przeciwnikiem swego towarzysza. Paweł Dobrynin mieszkał i pracował w sąsiednim mieście, a do „Doliny” przyjechał głównie po to, by się zabawić. Było tu równie komfortowo jak w Dagomysie, a skierowania tańsze. Tym, że i kobiety, odpowiednio do skierowań, są tu mniej luksusowe, Paweł się nie przejmował – rozebrane nie różnią się niczym, myślał cynicznie. Miał trzydzieści lat i wielokrotnie zdążył się o tym przekonać. Przy okazji zamierzał podleczyć w sanatorium nogę, złamaną kilka

lat temu, kiedy kompletnie zalany założył się i zjeżdżał z góry na cudzych nartach, nie sprawdziwszy przedtem wiązań. Narta w krytycznym momencie nie odpięła się od buta i od tej pory Dobrynin przy każdej zmianie pogody zaczynał utykać.

To, co proponował im Żenia Szachnowicz, ich nowy znajomy, brzmiało absolutnie niezwykle, ale przez to wydawało się jeszcze bardziej atrakcyjne. Zakładać się o kobiety! Oblęd! Ależ jest tu ich tyle, że Dobrynin, wysoki, zgrabny przystojniak, na którego widok baby mdleją, bez trudu wyjedzie stąd jako milioner.

– Nie jestem sadystą – mówił Żenia, z apetytem pałaszując kanapkę z kielbasą – i nie wymagam, żebyście za każdym razem zaciągali je do łóżka. Poderwać kobietę to znaczy uzyskać jej zgodę. I to wszystko. Czy z tej zgody skorzystacie, czy nie, to wasza sprawa, kwestia waszego nastroju. Zakład polega na tym, żeby dama spędziła w waszym towarzystwie co najmniej sześć godzin, a przy tym zaprosiła was do swego numeru i została z wami sam na sam. To wystarczy.

– I już? – Paweł parsknął lekceważąco.

– Nie myśl, że to takie łatwe. Skłonić kobietę, żeby przez sześć godzin podtrzymywała rozmowę z tobą, żeby się nie znudziła i nie posłała cię do wszystkich diabłów, to jak rozładować wagon węgla. Spróbuj, a sam się przekonasz. Gdyby to było łatwe, nie proponowałbym, żebyśmy grali o forszę. Dame trzeba zafascynować, jasne?

– A jak to będzie sprawdzane? – zapytał podejrzliwy Alfierow, który wszędzie dopatrywał się podstępów.

– Dobrze pytanie. – Żenia z aprobatą kiwnął głową, nalewając koniak. – Proponuję, żebyście na dowód opowiadali wszystko, coście od niej usłyszeli. A żeby was nie kusilo, by skłamać, nakłońcie je, niech wam opowiadają, jak spędzają czas tutaj, w „Dolinie”. Z kim rozmawiają, jakich mają sąsiadów, czy podobają im się lekarze

i obsługa. Słowem, to, co można sprawdzić. Im więcej wam opowiem, tym dłużej, znaczy, rozmawialiście. Wszystko jest proste jak drut. No, co o tym myślicie?

- Sprytnie pomyślane! - Kola zaśmiał się. - A ja już się rozmarzyłem! Myślałem, że poznam dziewczynę - i chodu, książkę sobie poczytam, pójdę do kina, a potem tu wrócę i wcisnę wam kit o tym, jak ją bijął pijany ojciec. A tu nic z tego!

Żenia z zainteresowaniem popatrzył na Alfierowa. Chłop ma dobry charakter, skoro tak spokojnie się przyznaje, że zamierzał oszukiwać. Jest łatwy, otwarty. Może dać sobie z nim spokój, póki nie jest za późno?

- Zrozumieście warunki? No to omówmy regulamin. Stawka - sto tysięcy. Kobiety wybieramy drogą losowania. Założmy, że ty, Pasza, wylosowałeś babkę z numeru 102. Wszyscy kładziemy na stół po sto kawałków. Jeżeli wygrasz - zabierasz nasze dwieście tysięcy. Jeżeli przegrasz - my zabieramy twoją stawkę i dzielimy na pół. Jasne?

- Chyba taaak - odparł niezdecydowanie Kola.

- Idźmy dalej. Kobieta, której nie uda ci się omotać, drożeje dwukrotnie. To znaczy, że jeśli zechce się do niej zabrać drugi z nas, stawka wyniesie dwieście tysięcy. Jeżeli dojdzie do trzeciego - czterysta.

- Dostać osiemset tysięcy za to, że się przez sześć godzin będzie bajerować kobitkę? Ale dajesz czadu, Żenka! Jestem gotów zacząć choćby dziś. Za pomyślne nawijanie! - Dobrynin podniósł kieliszek i wychylił do dna.

- No to losujmy.

Szachnowicz wyjął listę, ołówek i czystą kartkę, którą rozerwał na kilka części. Napisał na papierkach numery, zwinął karteczki w kulki i wrzucił do pustej szklanki.

W nocy Nastia Kamieńska prawie nie zmrzyła oka, bezskutecznie walcząc z ogarniającym ją niepokojem. Coś się wokół niej dzieje. Najpierw przystojny blondyn w barze, a w tym czasie ktoś był w jej pokoju. Zwykły złodziejasek? Bzdura, jej wygląd całkowicie odpowiada sytuacji materialnej, trzeba być ślepy, żeby spojrzawszy na jej koszulki i swetry, zacząć podejrzewać, że w pokoju znajdzie się coś wartościowego. W takim razie czego u niej szukano? I czy facet z baru ma z tym coś wspólnego? Nie jest przeciętnym podrywaczem, to oczywiste.

A z drugiej strony, może ona dopatruje się podstępu tam, gdzie go nie ma? Nastia wylazła spod kołdry, poczłapała do łazienki, gdzie na ścianie wisiało lustro odbijające całą postać, i zaczęła się sobie krytycznie przyglądać. Figura zgrabna, proporcjonalna, z nóg naprawdę może być dumna. Włosy gęste, proste, długie, jeśli je wyszczotkować i rozpuścić, opadają lśniąca falą na ramiona i plecy. Kolor co prawda jakiś nieokreślony, ni to jasny, ni to średni blond. Regularne rysy, prosty nos, bardzo jasne oczy. Ale wszystko razem jakoś nie robi wrażenia. Może dlatego, że nie ma w niej wewnętrzznego ognia, temperamentu, życia? Przez to i mimika jest niewyrazista, i chód ciężki, i Nasti nie chce się wkładać modnych ciuchów i robić makijażu. W jej duszy panuje chłód. Wieczna zmarzlina i ogromna nuda. Interesuje ją jedynie praca intelektualna. W dzieciństwie i wczesnej młodości była szczęśliwa tylko wtedy, gdy uczyła się matematyki i języków. Ukończyła nawet szkołę matematyczno-fizyczną, ale mimo to poszła na prawo, chociaż Loszka, wierny przyjaciel i sąsiad z jednej ławki, usilnie jej to odradzał. On sam pozostał wierny matematyce i teraz jest już doktorem habilitowanym. A ona ma satysfakcję ze swej pracy, najbardziej lubi analizować i rozwiązywać trudne zagadki. Oczywiście nie dodaje to kobiecości. Ale cóż robić, skoro nic poza tym jej nie interesuje! Nawet nie może

się prawdziwie zakochać, tak zakochać, żeby czuć drżenie nóg i zamieranie serca. Nudne to wszystko...

A jeżeli niesłusznie obraziła tego blondyna? Może właśnie on jeden dostrzegł jej nierzucającą się w oczy urodę i naprawdę chciał z nią poplirtować bez żadnych złych myśli? Tym bardziej że uśmiech, którym go olśniła, rzeczywiście był prześliczny, dała z siebie wszystko. A wiek? On ma pewnie dwadzieścia pięć, dwadzieścia siedem lat, ona zaś – trzydzieści trzy, ale w dresie i z włosami związanymi w koński ogon wygląda o wiele młodziej. Chyba powinna była potraktować go łagodniej. Chociaż z drugiej strony... Ktoś przecież przeszukał jej pokój, i to akurat w tym czasie, kiedy on zawracał jej głowę w barze. Bo chyba raczej nie stało się to, kiedy błądziła po skrzydle zabiegowym w poszukiwaniu zegarka. Nastia pamiętała dokładnie, że przed wyjściem do baru otworzyła słownik Webstera, żeby sprawdzić jedno słowo, i położyła długą, prostokątną gumkę równiutko pod linijką tekstu, żeby wrócić do tego słowa jeszcze raz. A kiedy potem uważnie rozglądała się po pokoju, gumka leżała też równiutko pod linijką, ale inną, trochę niżej, omawiającą jakiś homonim.

Ciekawe, czy intruz wszedł do pokoju drzwiami, czy przez balkon? Trzeba będzie rano zapytać Reginę Arkadjewną, może coś słyszała. Nie, postanowiła Nastia, musi wyrzucić to wszystko z myśli i wypoczywać. Nie ma niczego, co warto by ukraść, ona sama nie może nikogo interesować i nie powinna zawracać sobie głowy jakimiś bzdurami.